

WALERY PRZYBOROWSKI.

CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

12)

Widząc, że Jasiński od niejakiego czasu szczególnie względy okazuje Anielce i odgadując, że Antek także się w niej kocha, sam wreszcie oburzony w głębi duszy na to, że dziewczyna kogo innego nad niego przełożyła, postanowił złośliwie obudzić zazdrość w Antku, dokuczyć mu tym sposobem za pierwszeństwo okazane mu przez Anielkę a zarazem zniechęcić go do Jasińskiego, iż przynosi ten stosunek z mocno podejrzanym wolnonajemnym policyantem. Tak to samolubstwo miłosne bierze górę w najuczciwszym człowieku i popycha go do czynów nieszlachetnych.

— Ta twoja młoda głowa — rzekł więc mówiąc o Jasińskim — jak widzę, oprócz polityki, zajmuje się także zalecankami do panny Anieli.

Jasne rozpromienione oczy Antka na te słowa pokryły się mgłą, uśmiechnięta twarz skrzywiła się nerwowo. Nic nie odrzekł, tylko stał, patrząc na parę, siedzącą pod świerkiem, ozłoconą plamami słońca, przedzierającą się przez igły drzewa. Na cimmnowłosej głowie Anieli widać było purpurową różę, która ślicznie zdobiła fryzurę dziewczyny. Antek stał i patrzył, a oczy jego coraz bardziej mętną przybierały barwę, usta nerwowo się ścisnęły, twarz przybrała niezdrowy, żółty wygląd, a sekata pałka drżała w chudych rękach słuchacza uniwersytetu. Widząc to, Stanisław rad był bardzo w duszy, że jego słowa takie wrażenie na Antku wywarły.

Nagle Anielka zerwała się z ławki, na której z Jasińskim siedziała i z ruchami widocznego oburzenia opuściła swego towarzysza i szła z wawo i prosto do Antka i Stanisława. Jej twarzyczka pałała żywym rumieńcem, czarne oczy gniewne błyskawice ciskały, a wydatna pierś pod stanikiem falowała widocznie z silnego wzruszenia.

— Wyobraź pan sobie, panie Antoni — zawołała zwracając się do Antka — że ten błazen śmiał mi się oświadczyć.

— Kto? co za błazen? — zapytał gwałtownie Wiśniewski podskakując, jakby na żmiję nastąpił.

— Jasiński!

Antek zaczerwienił się nagle, potem zbladł i po chwilowym widocznym szamotaniu się ze sobą, przyczem zrobił parę kroków, jakby chciał biec ku Jasińskiemu, ale się powstrzymał, uspokoił się, tylko wargi mu drżały nerwowo. Stanisław nie przypuszczał, żeby w tym pozornie chłodnym, wyziębionym, sztychającym ze wszystkiego chłopcu było tyle namietności, a zarazem tyle uludy nad sobą. Patrzył na niego i podziwiał, a on tymczasem tonem zupełnie spokojnym zapytał Anieli:

— I cóż mu pani na to odpowiedziała?

Zdawało się, że pytanie to obraziło dziewczynę, bo rzekła z pewnem podrażnieniem w głosie:

— Jak panu się zdaje, co mogła taka jak ja kobieta odpowiedzieć takiemu głupcowi, jak Jasiński?

Ale Antek skrzywił się na to boleśnie, co u niego uśmiech miało oznaczać i odpowiedział:

— Pani wie, że ja zbyt mało znam charakter kobiet, bym mógł odpowiedzieć na to pytanie, to tylko wiem (dodał z pewnem namietnem uniesieniem, podnosząc sekata pałkę w górę), że gdybym ja był kobietą i gdyby mi się taki głupiec, jak go pani nazywasz, oświadczył, tobym go spoliczkował, a pani tego nie uczyniła...

Było tyle zimnej, groźnej namietności w tych słowach, że Stanisław, nie chcąc być świadkiem dalszej sceny zazdrości między zakochanymi, zawrócił i poszedł do siebie.

Był zły i niezadowolony z siebie i otaczających. Gryzła go zazdrość, że dał sobie wydrzeć Anielkę innym, kiedy tyle czasu był z nią sam na sam, bez żadnego współzawodnictwa. Dziwił się, jak mógł się jej podobać taki Antek Wiśniewski. Niewątpliwie jest to chłopiec bardzo inteligentny, wykształcony, dobry Polak, choć skrajnych przekonań i dążeń, ale ma postać niefortunną ze swą twarzą bladą, zawsze skrzywioną, jakby mu dolegało jakie cierpienie, jakby go brzuch wiecznie bolał, z włosem długim, rozrzuconym, miną małomiasteczkowego poety, z tymi wykrzywionymi butami, zaniedbaną w ubraniu i rękami chudymi o zawsze brudnych paznokciach. Ona, Anielka, taka zawsze czysta, strojna,

wykwintna w ubiorze, tak zawsze ładnie uczesana, tak dbająca o swe białe, śliczne rączki, ona zakochała się w tym chorobliwym, brudnym socyaliście!

— Otóż to kobiety! — mówił sobie — słusznie poeta nazwał je puchem marnym i wietrznymi istotami.

A potem przypomniawszy sobie Jasińskiego i jego oświadczenia pod starą świerkiem. Oburzenie Stanisława nie miało granic. Jak śmiał taki kiep, takie szumowiny warszawskie podnieść oczy na Anielkę! Tego już za dużo, by taki bandyta, prowokator, a może i szpieg policyjny ośmielił się zalecać do porządnej dziewczyny.

Chodził Stanisław po swym pokoju, pięści zaciskał i różne zamiary i różne myśli przychodziły mu do głowy. Odczytany, przypomniawszy sobie zdania wielu znakomych pisarzy o kobietach, zdania zawsze im niechętnie i zgryźliwe.

— Ba — mówił sobie — wszystkie one jedno warte. Gdyby Anielka nie dawała powodów, to Jasiński nie ośmieliłby się wystąpić do niej z zalecankami.

I przypomniawszy sobie jej teorie, wygłaszane z pewnego rodzaju bezwstydem o miłości. Ochłoniwszy nieco dziwić się zaczął samemu sobie, dlaczego o tem wszystkim myśli, dlaczego się dreczy i gniewa.

— Przecież — rzekł — nie ożeniłbym się z nią nigdy i z żadną się nie ożenię, by mnożyć nędzę ludzką, by nowe ofiary Molochowi śmierci w paszczę rzucać. Głupstwo, oszalełość widocznie. W tym wirze wszelkiego rodzaju bałamuctw i zamętu wyobrażeń zmienił mi się umysł i jak głupiec jaki waruję! O co mi idzie? niech się kochają, niech za łby się wodzą, a mnie co do tego? O nędzę ludzką, o człowieka, jakże ty marną jesteś istotą!

Ale wrzał w nim gniew przeciw Jasińskiemu i nie przestawała go trapić myśl o przygotowywanym przez urzędnika policyjnego napadzie na dwór w Górach. Nie znalazł w tym względzie pomocy u stryja Józefa, który z sieni dworskiej zabrał wiśszą na kołku dubeltówkę, nabił ją siekaczami, po stawiał przy swym łóżku i gadał:

— Nu, teraz ja już nie boję się bandytów. Niechaj przychodzą, to ja im zadam fernepeksu, co ruski miesiąc popamiętają.

I śmiał się i gładził swą długą, budrysowską brodę niedźwiedzia litewskiego.

Nie znalazł też pomocy i u Antka, który całą historię zamierzanego napadu uważał za głupstwo, za wytwór przesłyszania się Stanisława i przeczył temu, by „dobry patriota“ Jasiński takie zamiary żywił. Jakkolwiek teraz zapewne w oczach Antka „dobry patriota“ po oświadczeniach Anieli dużo stracił, wszelako na słuchacza uniwersytetu, zamroczonego miłosnemi westchnieniami do czarnych oczu dziewczyny, wcale liczyć nie można było.

Cóż wobec tego należało zrobić, jak nieszczęściu i śmiertelnemu niebezpieczeństwu zapobiec? Stanisław nie wątpił, bo przecież liczne wypadki napadów w całym kraju były tego dowodem, że pseudo-socyaliści nie będą szczeni nikogo, że może się krew polać. Co robić?

Wtedy przyszedł mu na myśl wyjaszek Miller i jego tajemniczy wpływ na Jasińskiego, który widocznie bał się swego kuzyna, nie odzywał się przy nim i zachowywał się skromnie. On jeden tylko, pomyślał sobie Stanisław, może tu coś zrobić, a choć czuł pewien wstręt do udawania się po pomoc do tego zapasonego Szwaba, wobec jednak grozy położenia przemógł się i postanowił Millerowi wszystko powiedzieć.

Właśnie wstał on ze swej poobiednej drzemki, wyszedł na werandę i siedząc w wygodnym fotelu kaszlał i pluł i czekał aż mu jego „Schatz“, ciotka Filomena przyrządzi szklankę herbaty, którą zawsze po przespaniu się pijał, paląc cygaro i przeglądając „Schlesische Zeitung“, którą kazał sobie przysyłać do Gór.

Wysłuchał uważnie i bacznie relacji Stanisława, od czasu do czasu mrucząc pod nosem: „verfluchter Kerl“ i pluąc. Wreszcie po skończeniu opowiadania zapytał:

— I pan to słyszał na własne uszy?

— Tak, wszak panu mówiłem. Słyszał to także stryjasek Józef.

— Możesz pan zaręczyć słowem honoru, że to, co mi opowiedziałeś, jest co do joty prawdą?

Stanisław obraził się nieco tem pytaniem i odrzekł:

— Mogłbym panu odpowiedzieć, że nie lubię, kiedy kto wątpi w prawdziwość moich słów, ale ze względu na doniosłość sprawy ręczę panu słowem honoru, że wszystko, com panu powiedział, jest szczerą prawdą.

— To dobrze. Już ja się z tym łajdakiem rozmówię.

A gdy Stanisław wstał, mając zamiar odejść, Miller zapytał:

— Więc rejent z testamentem pojutrze przyjedzie?

— Tak.

— Czy rano?

— O godzinie dziesiątej rano będzie tutaj.

— To dobrze. Ką pan z łaski swej, by konie dla mnie były gotowe. Zaraz po załatwieniu sprawy testamentu muszę wyjechać. Mam pilne sprawy w Warszawie. Co do Jasińskiego, sądzą, że najlepiej byłoby zawiadomić o jego zamiarach władzę.

— Tego nie zrobię.

— Dla czego?

— Mam swoje powody. Przyrzekł pan z nim się rozmówić i na to liczę.

— Rozmówię się, a proszę pamiętać o koniach dla mnie.

Na tem rozmowa, z obu stron niechętnie prowadzona, urwała się.

Dla Stanisława jasną było rzeczą, że Miller niewątpliwie zamierza donieść o wszystkim władzom, że jednak nie licząc wiele na ich pojawienie się we właściwej chwili, bo wiedział z doświadczenia, że jak w operetce karabinierowie zawsze przychodzili „troszkę“ zapóźno, chciał po odebraniu pieniędzy natychmiast uciekać z Gór. To było najbezpieczniejszym i szło mu tylko o siebie i o swoje pieniądze, a o resztę nie dbał. Z tem wszystkim nie wątpił także Stanisław, że Miller rozmówi się z Jasińskim, choćby dla tego, by zyskać na czasie i umknąć cało i zdrowo do Warszawy.

Jakoż mając już teraz bacznie na wszystko zwróconą uwagę, co się dzieje w Górach, spostrzegł, że w godzinę później Miller zawołał Jasińskiego, poszedł z nim do swego pokoju, zamknął się na klucz, nawet rolety w oknach zapuścił, żeby nikt przez nie nie zajrzał i nie podsłuchiwał. Konferencja ta trwała dość długo i zmrok już zapadał, gdy Jasiński mocno zaczerwieniony i spocony, gryząc wargi i ciskając dokoła złowrogie spojrzenia, wyszedł z pokoju Millera. Nie ulegało więc wątpliwości, że była mowa o zamierzonym napadzie, ale jaki jej skutek, na razie dowiedzieć się nie można było, gdyż Miller nie pokazał się do kolacji, ale kazał ją sobie przynieść do swego pokoju. Tylko Siergiej Bolesławicz, który kręcił się po całym domu, podsłuchiwał i śledził wszystkich, szepnął Stanisławowi, że Jasiński wychodząc od Millera, ścisnął pięści i syknął przez zęby:

— Poczekaj burżu, zapłacę ci ja za to!

Czy te słowa dotyczyły Stanisława, czy Millera, trudno było odgadnąć i na tem tego wieczoru trzeba było przestać.

XVII.

Nazajutrz Miller, niecierpliwie oczekiwany przez Stanisława, przybył dość późno na śniadanie. Zapytany o rezultat wczorajszej rozmowy z Jasińskim, odrzekł lakonicznie po niemiecku:

— Alles gut!

Trudno było przy innych nalegać o dokładniejsze wyjaśnienia, zwłaszcza że milczał uparcie, a gdy nakoniec odchodzącego zagadnął Stanisław na osobności, odrzekł:

— Powiedziałem już panu, że wszystko dobrze. Możesz spać spokojnie.

— Radbym jednak wiedzieć bliższe szczegóły.

— Jakie szczegóły? nie mam żadnych.

Odchodząc, przypomniawszy Stanisławowi, że jutro zaraz po ukończeniu sprawy z testamentem, pragnie wyjechać, żeby więc konie były gotowe.

Wszystko to nadzwyczajnie nie podobało się Stanisławowi i wcale uspakajająco na niego nie oddziaływało. Miller zamknął się u siebie szczerze, jak gdyby unikał Stanisława, zapewne w obawie, by ten nie nalegał na niego o bliższe objaśnienia, co w umyśle Stanisława wzbudzało podejrzenie, że rzeczy nie stoją tak dobrze, jak Miller twierdzi. Zwłaszcza ten natychmiastowy wyjazd z Gór po otwarciu testamentu dawał dużo do myślenia i zakrawał na formalną ucieczkę przed niebezpieczeństwem, tem więcej, że przedtem Miller nic o tem nie mówił, owszem kilka razy wspomniawszy, że mu tu jest dobrze i że rad jest odpoczynkowi po ciężkiej całorocznej pracy.

Na dobitkę Siergiej Bolesławicz, który czułym nosem czynownika petersburskiego zwąchał, że na coś niedobrego zanoszą się w Górach i ciągle Jasińskiego podejrzewając o szpiegostwo, bacznie i pilnie śledził wszystkie jego kroki i czynności, przyszedł koło południa do Stanisława i rzekł z tajemniczą miną:

— Wiecie pan Stanisław, że ten przeklęty szpicel Jasiński samym rankiem kędy to poszedł. Szeł